

271

Stefan Pastuszewski

Dnia 17.VIII.1980 r.

Redakcja Liter.i Report.

Godz. 16.05 - 17.30 Prasy

Główny [illegible]

Delektacja [illegible]

u-1 [illegible]

Katki [illegible]

Data 150860 [illegible]

2-4

Handwritten signature or initials.

N O C K A

Handwritten mark or signature.

- Panie, co tu za śmiecie idzie?! - zapytał maszynistę Werwes, z trudem opanowując wściekłość.

- Gdzie? - robotnik wyglądał jak wyrwany z głębokiego snu.

- Na tamborze. Przecież ten papier nadaje się tylko na przemiał.

- Nie wiem- robotnik wzruszył ramionami. - Zapytaj się pan majstra. Ja tylko pilnuję, aby szło.

Werwes udał, że odchodzi. Zrobił jeden krok do tyłu i stanął. Nie musiał iść dalej, bo monotony szum maszyny, świst pary wydostającej się z nieszczelnych przewodów, a także ta senna atmosfera nocnej zmiany, wyraźnie otępiały robotnika. Stał oparty o pulpit i bezmyślnie spoglądał na obracające się cylindry. Od czasu do czasu rzucał okiem na migające na pulpicie zegary, ale czynił to równie bezmyślnie, bo Werwes bardzo szybko stwierdził, że głowa maszynisty pochyła się w równych odstępach czasu. Ot, z przyzwyczajenia, z głębokim zakorzenionego nawyku.

"Śpi na stojąco" - pomyślał inżynier i nie dbając już o dyskrecję poszedł gankiem, w pierwszym momencie nawet celowo tupiąc nogami. Maszynista ani drgnął.

Gdy wszedł do kantorka, siedzący przy biurku mistrz poderwał się na równe nogi.

- Ale mnie pan przestraszył! - powiedział tonem usprawiedliwienia. - Zdrzemnąłem się trochę.

Werwes ciężko usiadł na krześle.

- Zmęczył się pan? - zatroskał się mistrz. - Może zrobić panu kawy?

- Nie, dziękuję - inżynier machnął ręką. Nie wiedział jak zacząć, żał mu trochę było tego sennego spokoju panującego w kantorku. Nawet dochodzący z hali szum maszyny świetnie uzupełniał się z tym sielankowym klimatem zacisznego pokoiku oświetlonego stojącą na biurku lampką.

- Że też pan chce się męczyć - powiedział majster.

Faktycznie - Werwes czuł, bardzo wyraźnie czuł zażenowanie, że całą noc lazi po zakładzie i sprawdza, że jest frajerem, po prostu głupim frajerem.

- Inni to po godzinie, dwóch uciekają do domu - powiedział

Ławniczak, majster.

- Rzeczywiście, inni tak robią - myślał Werwes. - Kalinowski nawet się chwalił, że opracował świetną metodę. Zaraz po rozpoczęciu dyżuru, gdzieś koło 22, 22.30, dzwoni do dyrektora eksploatacyjnego, że wszystko w porządku. Potem jeszcze ~~się~~ dyspozytorowi się pokaże, z tym i z owym pogada i wszyscy wiedzą, że był. Tylko on jeden jest takim Don Kichotem.

- Może panu samochód u dyspozytora zamówić? - zaoferował usłużnie majster.

- Nie, jeszcze nie - powiedział.

Chciał powiedzieć twardo "Nie" i od razu wypalić tę całą sprawę ale czuł, że brak mu odwagi. W końcu jest inny od innych, w końcu jest w tym całym świecie intruzem. Głupio mu było, ale wiedział też, że jeszcze głupiej mu będzie, gdy zrezygnuje ze swego. Nie, musi, koniecznie musi to powiedzieć, tylko nie wie jak. Nieopatrznie, pomógł mu w tym mistrz, zapewne dlatego, że widząc markotność inspektora, chciał go rozruszać.

- No i co, panie inżynierze, wszystko gra?

Nawet w tym momencie Werwes nie chciał tego powiedzieć.

Patrząc na zaspane oczy tego chłopaka, którego na siłę, bo był najmłodszy wśród zmianowych, wepchnęli na nockę, który w końcu niczemu nie był winien, czuł, że nie ma prawa przerywać jego błogostanu.

- Hm - mruknął niewyraźnie, chcąc odwlec w czasie ten moment, który - wiedział - musi nastąpić.

Chłopak podkładał się dalej. Reklamował się ze szczeniacką pewnością siebie. - "W końcu to nie jego wina, wszyscy w jego wiek i jego sytuacji są szczeniacko pewni siebie.

- U mnie wszystko musi grać. Nie może, żeby nie grało.

- Nie wszystko! - nie wytrzymał Werwes.

- No, może ktoś tam sobie przyśnie na belach, ktoś tam w szatni babkę przygrucha. To wszystko ludzie. Każdemu się coś od życia należy. Grunt, że robota idzie - chłopak był trochę zmieszany, ale nie dał się zbić z tropu.

- Źle idzie - mruknął Werwes, który wciąż jeszcze nie mógł się przekonać co do słuszności swej interwencji.

- No, panie inżynierze, może faktycznie ta jakość nie jest prima sort, ale ujdzie - próbował bagatelizować majster. - Taką już masę dostajemy. I jeden młyn nam wysiadł - dodał jakby na usprawiedliwienie. - Na nocce nie ma Pawliny, a tylko on potrafi te młyny naprawiać.

Chłopak uśmiechnął się ujmująco. Patrzył prosto w twarz swymi zielonymi, wciąż jeszcze rozmamianymi od snu oczami.

- "Kobiety lubią taki uśmiech - pomyślał Werwes, ale ja nie jestem kobietą". I nagle, nie wiedzieć ~~właśnie~~ dlaczego, prawdopodobnie dlatego, że on sam nie miał powodzenia u kobiet, a śmiejąc się pokazywał dwa, bardzo brzydko wyglądające kły, poczuł z powodu tego chłopaka wściekłość. Później, gdy analizował tę całą historię, próbował obciążyć winą za ten wybuch, przypomnienie widoku zwałów wybrakowanego papieru od kilku lat zalegających jących zaplecze rampy. Prasa już wielokrotnie pisała na ten temat. - "Skąd dziennikarze wyniuchali ^{te} sprawę? Przecież dyrektorskie zarządzenia ochraniające fabrykę przed inwazją redaktorów były skrupulatnie przestrzegane przez straż przemysłową", a zwały jak leżały, tak leżały. Nic tu nikogo nie obchodziła ~~nie tylko~~ ^{oni} dobra opinia o zakładzie, ~~ale~~ jawne marnotrawstwo. Byleby tylko jakoś tam szło dalej. A tu, jeszcze ten smarkacz. "Ile on może mieć lat? Dwadzieścia pięć? Dwadzieścia osiem?" przez całą zmianę produkuje buble i jeszcze beztrąsko się uśmiecha.

- Panie! - krzyknął Werwes, pryskając śliną /zawsze, gdy mówił w gniewie, to pryskał śliną/. - Tę całą pana produkcję trzeba będzie jutro do hydropulperów wrzucić! To jawna granda! To sabotaż!

- Może nie będzie trzeba. Może komuś się upchnie. Ekspedycja

nie takie rzeczy upychała - chłopak nadal uśmiechał się ujmująco.

- Milczeć! - wrzasnął Werwes. Stwierdził, że gdyby usłyszał jeszcze jedno słowo, to trzasnąłby smarkacza prosto w twarz.

Za ten cynizm i za to powodzenie u kobiet.

Dyspozytor nie chciał dać wiary informacjom Werwesa, a potem, kiedy podeszli do tamboru, na który nawijał się ~~właśnie~~ pomarszczony, a w niektórych miejscach nawet zawilgocony papier, próbował rzecz całą zbagatelizować.

- Nie jest tak źle - zapewniał, zarówno siebie, jak i Werwesa, gładząc powierzchnię roli.

- Worek z takiego papieru raz dwa pójdzie. Pomyśl pan jakie będą straty. Ile cementu może pójść w cholerę, ile zboża! - przekonywał inżynier.

- To nie nasza sprawa - stwierdził dyspozytor, lecz widocznie doszedł do wniosku, że jemu nie wypada tak mówić, bo zaraz dodał: - Zresztą jak pan uważa. Pan ma od eksploatacyjnego wszystkie prerogatywy, to niech pan decyduje. W końcu po to ustanowili tę funkcję społecznych inspektorów.

- Zatrzymać! - stwierdził po chwili namysłu inżynier.

Okazało się, że te wszystkie prerogatywy to dla dyspozytora za mało i trzeba było obudzić śpiącą laborantkę, aby dokonała

analizy jakościowej papieru /w międzyczasie maszyna nadal pracowała/, a potem zadzwonić do dyrektora.

Była 1.42. Eksploatacyjny nie krył swej wściekłości.

- Czy pan koniecznie musi dzwonić, panie inżynierze?! - warknął, gdy zorientował się, o co idzie.

- Muszę, bo dyspozytor nie chce zatrzymać maszyny.

- A niech tam nie zatrzymuje! Czy pan wie jakie straty za sobą pociąga takie zatrzymanie?!

- Braki jeszcze większe!

- Nie większe, bo nie wszystko rano okaże się brakiem. W nocy strach ma wielkie oczy.

- Maszynę trzeba zatrzymać - upierał się Werwes.

- Panie, a co pan zrobi z ludźmi jak maszyna stanie?!

Ludzie muszą mieć jakąś robotę. Obojętnie czy dobrą, czy złą.

- Będą porządkować makulaturównię.

- Ach, tam do diabła! - zrezygnował w końcu dyrektor. - Rób pan co chcesz!

Werwes wracając pieszo nad ranem do domu wiedział, że już nigdy więcej na nocny dyżur go nie poślą i może nawet wkrótce te nocne dyżury inspekcyjne zlikwidują. "A może to i lepiej" - pomyślał czując ^{że} jak ogarnia go taka senność, że zasnąłby na stojąco.